



ZYGMUNT GLOGIER

W 1949 r. w Radomiu Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Niemieckich z siedzibą w Radomiu, w osobie członka Komisji podprokuratora T. Skulinowskiego, z udziałem sekretarza Okręgowej Komisji E. Rokickiego, przesłuchała niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i o treści art. 107 KPK świadek zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Zygmunt Glogier
Wiek	51 lat
Imiona rodziców	Maciej i Martyna
Miejsce zamieszkania	ul. Sienkiewicza 12 m. 1, Radom
Zajęcie	adwokat
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany
Stosunek do stron	obcy

11 listopada 1939 roku zostałem aresztowany wraz z grupą około 400 osób. Zatrzymano wtedy przedstawicieli prawie wszystkich sfer społecznych, tak Polaków, jak i Żydów. Było to pierwsze masowe aresztowanie na terenie Radomia i okolic. Umieszczono nas w więzieniu radomskim. Traktowanie aresztowanych było względne, jedynie w celach na parterze, gdzie umieszczono przedstawicieli społeczeństwa żydowskiego, znęcano się nad uwięzionymi w sposób barbarzyński. Tam bowiem usunięto z cel wszystkie prycze i ławki i tak zagęszczono cele, że osadzeni więźniowie musieli dniem i nocą pozostawać w pozycji stojącej. Co pewien czas wpadali do cel gestapowcy, którzy bez żadnego powodu bili więźniów nahajami. Specjalnie znęcał się nad uwięzionymi Żydami gestapowiec Pochluda, który

w okropny sposób zmasakrował osadzonego w parterowej celi adwokata Hassenbajna. Polacy umieszczeni na górnych piętrach więzienia byli traktowani raczej jak zakładnicy. Pozwolono na dostarczanie jedzenia i nawet udzielono w niektórych wypadkach widzeń. Mniej więcej po 10 dniach zaczęły się zwolnienia. Przede wszystkim dotyczyły lekarzy, którzy prawie wszyscy byli zatrzymani, a następnie grupami po kilka osób pozwalniano resztę aresztowanych, pozostawiając jedynie niektóre osoby, a mianowicie byłego senatora Sołtyka, byłego posła Grzeczmarowski, byłego wojewodę Gnoińskiego i pastora miejscowego Friszke. Wszystkich odtransportowano do obozów koncentracyjnych. Zaznaczam, że nikt z aresztowanych nie był badany. Aresztowanie nosiło raczej charakter zastraszenia. W grudniu 1939 roku, na polecenie urzędującego wówczas w Radomiu *Polizeiführera* Katzmanna, przystąpiono do usuwania Polaków i Żydów ze śródmieścia. Wobec tego, że termin na opuszczenie mieszkań był bardzo krótki (dwie czy trzy godziny), działały się przy usuwaniu mieszkańców nieludzkie sceny, gdyż ludzie, nie chcąc pozostawiać rzeczy, wyrzucali je przez okna na ulice. O ile Polakom dano termin do zabrania swego dobytku, to ludność żydowska była zmuszona do pozostawienia całego urządzenia mieszkań i pozwolono jej na zabranie jedynie najbardziej potrzebnych przedmiotów. Przy tej sposobności gestapo, pod pozorem, że jest to mieszkanie żydowskie, wpadało do mieszkań Polaków i z nich zabierało [co] wartościowsze rzeczy. W roku 1940 rozpoczęły się na terenie Radomia i powiatu większe aresztowania i coraz to dawało się słyszeć, że aresztowanych tracono w lesie Siczki w kierunku Kozienic i w Firleju. W roku 1941, w związku z wykryciem jakiejś organizacji, aresztowano znowu kilkadziesiąt osób, spośród których wiele stracono, a resztę wywieziono do obozów. Jesienią 1942 roku odbyły się publiczne egzekucje na terenie miasta. W trzech miejscach postawiono szubienice i na nich powieszono kilkadziesiąt osób, w tym i kobiety przywiezione z więzienia. Powieszeni wystawieni byli na widok publiczny przez kilka godzin, a jak słyszałem, młodzież zatrzymywano i kazano asystować przy egzekucji. W tym roku wzmógł się terror i coraz dawało się słyszeć, że kogoś aresztowano i że wywożą więźniów z więzienia, co wskazywało, że należy się spodziewać w najbliższym czasie nowych zatrzymań. 11 listopada 1942 zostałem aresztowany po raz drugi. O godzinie piątej rano weszło do mego mieszkania kilku gestapowców po cywilnemu i po przeprowadzeniu pobieżnej rewizji i opieczętowaniu kancelarii wyprowadzono mnie z domu, grożąc, że w razie ucieczki będę zastrzelony. Tego dnia aresztowano również mego brata Stanisława, bratową i siostrę. Ich mieszkanie zostało opieczętowane. Jak dowiedziałem się po powrocie z obozów, całą naszą rodzinę wyrzucono z obydwu mieszkań, pozwalając jedynie zabrać najniezbędniejsze rzeczy do okrycia. W grudniu 1942 roku moja



żona została wyrzucona wraz z dwojgiem małych dzieci na bruk i przez kilka miesięcy mieszkała kątem w suterenie udzielonej jej przez Komitet Opiekuńczy. Mieszkanie matki zajęli gestapowiec Kraupatz, urządzenie mieszkań Niemcy pozabierali.

Po aresztowaniu zaprowadzono mnie na gestapo, na ul. Kościuszki, i umieszczono w szopie. Staliśmy przodem do ścian. Aresztowanych było około kilkadziesiąt osób, w tym i kobiety. Widziałem stojącego obok mnie inż. Kurcza, inż. Łuczaka (obaj zginęli) i wielu, wielu innych. Wieczorem do szopy przybył komisarz Fuchs wraz z tłumaczem i wygłosił przemówienie treści mniej więcej następującej: „Wszyscy jesteście winni, będziecie badani, radzę szczególnie kobietom przyznać się, gdyż w ten sposób mogą one uratować swych najbliższych”. Wspomniał również o wojnie bakteriologicznej, którą jakoby miała prowadzić organizacja. Nazwy organizacji nie wymienił. Po tym przemówieniu odczytał coś około 10 nazwisk, kazał tym osobom wystąpić – co do tych osób wina ich miała być ustalona. Ze znajomych wywołano dr. Meterę, brata Stanisława, inż. Kurcza, sędziego Dankowskiego i kilku innych, których nazwisk sobie nie przypominam. Wszystkich tych aresztowanych odprowadzono do piwnic mieszczących się pod gmachem gestapo. Resztę uwięzionych partiami odtransportowano do więzienia i umieszczono na *Sonderabteilung*. Kierownikiem *Sonderabteilung* był Koch, znany ze swego okrucieństwa. Zwykle na przywitanie wymierzał razy nahajem. Tym razem jakoś obyło się bez wkupnego, jak nazywali bicie więźniowie. Rygor na oddziale panował bardzo surowy, gdyż za byle co bito. Jedzenie: słodka kapusta, kawa i kawałek chleba. Paczki, które dostarczały rodziny, przechodziły przez ręce SS-manów, którzy lepsze rzeczy wybierali, oddając jedynie resztki według swego widzimisię. Codziennie odbywała się na sekretnym podwórku tak zwana gimnastyka, która polegała na skokach, biegach i żabkach. Nad sprawnością czuwał SS-man z batogiem, który ociągających się bił i kopał. Już na drugi dzień wezwano pierwszą partię na przesłuchania. Powrót tych ludzi z badań przejął nas, gdyż nie było człowieka, który nie był zbity mniej lub bardziej. Siedzący w naszej celi lekarze prymitywnymi środkami ratowali pobitych, ale brak było opatrunków, a pomoc lekarska nie była przewidziana dla *Sonderabteilung*. Nie przeszkadzało, że pobitego brano drugi raz na badania. I tak, nieznanego mi młodego człowieka z Góry Puławskiej, siedzącego w naszej celi, którego tylna część przestawiała jedną miazgę, brano ciągle na badania, gdzie znowu go bito. Wraz ze mną w celi siedzieli dr. Głowacki, Tomaszewski, administrator dóbr Borkowice – Weber, Kozera, którego całą rodzinę wtedy aresztowano, jakiś spadochroniarz sowiecki i inni, których nazwisk nie przypominam sobie. Co dzień rano, około piątej, przyjeżdżali gestapowcy z Kościuszki po

osoby, które miały być dostarczone na badania. Doskonale słysząc było szcęk otwieranych drzwi, brzęk kajdan, po chwili otwierały się drzwi do cel i wywoływano ludzi. Po wyprowadzeniu z celi ustawiano [ich] frontem do ściany, a następnie skuwano kajdanami ręce, po dwie osoby. Czasami skuwano wszystkich, około 10 – 12 osób razem. Sprawiało to szczególnie trudność w ładowaniu się na samochody, gdyż mocniejsze pociągnięcie ręką powodowało zaciskanie się kajdanek. Po przywiezieniu na Kościuszki wprowadzano więźniów na drugie piętro i tam, w łazience, przykuwano ich do kaloryferów, gdzie czekali na kolejkę swych badań. Zdarzało się, że aresztowany był wożony po kilka razy i nie był w ogóle badany. Siedział tylko przez 12 godzin, wysłuchując jęków i patrząc na przyprowadzanych z badań zmalretowanych więźniów.

Po kilku dniach pobytu w więzieniu wezwany zostałem na przesłuchanie. Pierwsze badanie odbyło się w pokoju naprzeciw wejścia, od ul. Kościuszki. Badał mnie tłumacz Manowski przy współudziale ryżego osobnika, jak się później dowiedziałem Schwieckera. Po badaniu, które trwało kilka godzin, zostałem wyprowadzony i przykuty w łazience. Po jakichś dwóch dniach wezwano mnie po raz wtóry. Badały te same osoby co poprzednio. Na tym badaniu oświadczono mi, że wobec tego, iż nie przyznaję się do przynależności do ZWZ, będą zmuszeni zastosować środki represyjne. Po badaniu zostałem odwieziony do więzienia. Gdy przywieziono mnie trzeci raz na Kościuszki, tłumacz Manowski zabrał mnie do siebie skutego, po czym wyprowadzono mnie i poprowadzono na trzecie piętro do komórki, w której stał rozłożony fotel dentystyczny, leżały trzciny, bambusy i pejczy oraz, jak zauważyłem, wisiał sznur przewieszony przez kółko znajdujące się na górze, a który zwisał do samego dołu. Kazano mi się położyć i zaczęto bić mnie pejczami. Następnie założono mi kajdanki od tyłu na ręce, zaczepiono je o hak na końcu zwisającego sznura i zaczęto podciągać mnie do góry. Robił to Manowski, a w tym czasie Schwiecker bił mnie bykowcem, powtarzając za każdym uderzeniem: – Przyznasz się, czy też nie? Po wymierzeniu kilkunastu uderzeń opuszczono mnie na ziemię i poprowadzono do pokoju badań. Tam powiedziano mi, abym się namyślił do jutra, a jeżeli dam negatywną odpowiedź, będę zbity, ale lepiej. Następnego dnia znowu przywieziono mnie na Kościuszki, ale przesiedziałem cały dzień bez badań. To samo powtórzyło się następnego dnia. Tego dnia widziałem straszliwie zbitą i posiniaczoną Szczepanikową z Radomia, która mówiła, że bili ją w obecności jej męża. Po kilku dniach odpoczynku wezwano mnie znowu na Kościuszki i tam, na górze, dostałem kilkadziesiąt razy, przy czym podnoszono mnie do góry i spuszczano na ziemię tak, że porozbijałem się mocno. Po tym badaniu wezwano mnie jeszcze raz do gestapo i tam

zdaje się Fuchs, który siedział w asyście kilku gestapowców, oznajmił mi przez tłumacza, że będę wysłany do obozu koncentracyjnego, ale w każdym razie nie do Oświęcimia, który jest obozem zagłady. Po upływie kilku dni od chwili ostatniego wyjaśnienia złożonego Fuchsowi, zostałem wezwany do celi transportowej, w której Koch osobiście powiązał wszystkim więźniom ręce z tyłu, a rankiem następnego dnia powieziono nas na stację, skąd towarowym wagonem, w pozycji klęczącej, dojechałem właśnie do Oświęcimia. Tam przyjęto nas razami kijów – gdy wyskakiwaliśmy z wagonu SS-mani bili nas drągami. W Oświęcimiu, przed otrzymaniem bluz więziennych, kazano całemu transportowi rozebrać się do naga na dworze, przy pięciostopniowym mrozie (był to grudzień 1942) i biegiem ruszyliśmy do łaźni, oddalonej o jakieś kilkaset metrów od miejsca, w którym rozbieraliśmy się. Po gorącym prysznicu powrót tą samą drogą i następnie otrzymaliśmy więzienne okrycia. Po spisaniu personaliów na *Politische Abteilung* otrzymałem numer 83 824. Po dwuletnim pobycie w Oświęcimiu zostałem wysłany do Oranienburga i tam przydzielony do fabryki Heinkel[-Werke], zaś stamtąd jako starszy wiekiem wysłany zostałem do obozu [Bergen-] Belsen, tak zwanego kuracyjnego. Wysyłano tam transporty niezdolnych do pracy, osoby starsze, więźniów ze szpitali obozowych. Klimat straszny: deszcz i następnie słońce. Ranki mroźne. Warunki mieszkalne straszne. Po 100 i więcej osób spało w barakach na gołej ziemi, w błocie. Blokowi recydywiści, Niemcy, którzy systematycznie ograbiali więźniów z jedzenia i rzeczy. Rano wyganiano wszystkich z baraków i cały dzień stało się lub kręciło po placu, raz moknąc, drugi raz susząc się na słońcu. Większość więźniów nie miała płaszczy, a kurtki łatwo nasiąkały wodą. Z tego powodu śmiertelność szalenie wzrosła i nie było dnia, aby z baraku nie wynoszono po kilku lub kilkunastu nieboszczyków. Dostanie się na tak zwany rewir równało się śmierci, gdyż obsługa pałkami załatwiała się z niezdolnymi do jakiegokolwiek pracy. Dlatego ludzie woleli umierać na blokach. Na dwa miesiące przed oswobodzeniem dostawaliśmy dwa razy w tygodniu kromkę chleba (sznitkę) i do tego wodnistą zupę. Zaczął się szerzyć tyfus, który setkami zabierał ludzi. Na tydzień przed oswobodzeniem cofnięto racje chleba. Obóz wtedy przedstawiał [sobą] jedno cmentarzysko. Zdarzały się wypadki ludożerstwa. Nadzór nad obozem pełnili SS-mani z Oświęcimia z komendantem Kramerem na czele. W chwili oswobodzenia Anglicy zastali 15 tysięcy niepogrzebanych trupów. Dalszych 10 tysięcy zmarło wskutek wycieńczenia natychmiast po wejściu aliantów. Około sześć tysięcy zmarło wskutek zjedzenia konserw – [zbyt] ciężkich dla wyjąłowionych żołądków – które zostały [nam] dane w dużej ilości. Stan obozu wynosił mniej więcej 42 tysiące ludzi, tak kobiet, jak i mężczyzn. Były wszystkie narodowości pościągane ze



wszystkich obozów, w tym duża liczba Polaków. Obok znajdował się drugi obóz, dopiero co utworzony, mieszczący się w Bergen, w koszarach byłej armii niemieckiej, dokąd w ostatnich chwilach zwożono więźniów ze wszystkich obozów. Oba te obozy uwolnione zostały przez aliantów 15 kwietnia 1945 roku.